



**IZOTOPY
OBRONĄCI
ZDROWIA**

Zwróciliśmy się do dyrektora Wojewódzkiego Ośrodka Onkologicznego w Poznaniu, dr. Stefana Skowronskiego z prośbą o podzielenie się swymi uwagami na temat jednej z najgroźniejszych chorób — raka.

CO TO JEST RAK?

Rozwój raka polega na bezładnym, nieprzewidywanym mnożeniu się pewnej grupy komórek. Skupienie takich komórek tworzy guz lub naciek nowotworowy. Guz taki z czasem zwykle ulega owrzodzeniu. Grupy komórek oderwane od guza mogą przenosić się z prądem krwi lub limfy i dawać w najróżniejszych, często odległych częściach organizmu wtórne guzy zwane przerzutami.

Dotychczas medycyna nie zna dokładnej przyczyny powstawania nowotworów. Na podstawie badań eksperymentalnych na zwierzętach należy przypuszczać, że przyczyn powstawania jest wiele. Wiadomo, że rak nie jest chorobą zaraźliwą ani dziedziczną.

JAKA JEST ŚMIERTELNOŚĆ?

Przypuszczalna cyfra zgonów spowodowanych przez nowotwory na całym świecie wynosi rocznie przeszło 2 miliony. W Polsce rak zajmuje drugie miejsce wśród przyczyn zgonów po chorobach serca. Rocznie umiera w Polsce przeszło 30 000 ludzi. Przypuszczalna cyfra chorujących na raka w Polsce jest znacznie wyższa. Dane te są oparte na naszych niedostatecznych jeszcze statystykach i stąd należy przypuszczać, że rzeczywista ilość chorujących i umierających na raka jest jeszcze wyższa.

JAKIE SĄ NAJCZĘSTSZE POSTACI RAKA?

Kobiety najczęściej chorują na raka gruczołu piersiowego i raka macicy, najczęstsze nowotwory u mężczyzn, to raki żołądka, skóry i dróg oddechowych. Duża częstota występowania raka, ciężki i długotrwały przebieg tej choroby, wysoka śmiertelność powoduje, że walka z rakiem stanowi poważny problem społeczny i jedno z czołowych zagadnień w medycynie.

NA CZYM POLEGA LECZENIE?

Stosowanymi przez współczesną medycynę metodami jest leczenie radiologiczne i leczenie operacyjne. Celem leczenia operacyjnego jest doszczętne, radykalne usunięcie ogniska nowotworowego.

Leczenie promieniami radu lub rentgena polega na wykorzystaniu różnicy wrażliwości na oddziaływanie na promienie tkanek normalnych i nowotworowych. Komórki nowotworowe są na ogół bardziej wrażliwe i giną lub ulegają uszkodzeniu szybciej niż komórki tkanek zdrowych. Jeżeli ta różnica wrażliwości na promienie jest tak duża, że możemy dać dawkę promieni niszczącą całkowicie komórki guza bez trwałego uszkodzenia otaczających go tkanek zdrowych — otrzymamy całkowite wyleczenie.

Oprócz promieni radu i rentgena stosowane są obecnie w

ŚWIAT

ATAKUJEMY NAJGROŹNIEJSZĄ Z CHORÓB

R A K

leczeniu raka również izotopy kobaltu. Kobalt daje promieniowanie równie przenikliwe jak rad i jest preparatem znacznie mniej kosztownym. W leczeniu pewnych nowotworów o specjalnym umiejscowieniu mają zastosowanie inne izotopy. Na przykład w leczeniu pewnych nowotworów tarczycy stosuje się jod promieniotwórczy, w raku pęcherza izotop bromu; w przypadkach wysięków nowotworowych do jamy brzusznej lub opłucnej okresową poprawę można uzyskać przy zastosowaniu złota promieniotwórczego. W leczeniu nowotworów krwi i układu chłonnego mają zastosowanie pewne preparaty chemiczne. W leczeniu daleko posuniętych postaci raka piersi lub gruczołu krokowego efektywną poprawę przynosi nieraz leczenie hormonalne.

W dalszym ciągu prowadzone są bardzo intensywne poszukiwania innych sposobów leczenia raka.

CZY RAK JEST CHOROBA ULECZALNA?

Rak jest uleczalny, ale nie w każdym stopniu choroby. Usunięcie ogniska rakowego bądź chirurgicznie, bądź promieniami na początku jego rozwoju zapewnia 100-proc. wyleczenie. Obecnie rozwój medycyny doprowadził do tego, że za pomocą badania mikroskopowego zluszczonej komórki (tak zwane cytologiczne badania rozmazu) można rozpoznać raka w najbardziej wczesnym jego okresie wówczas, gdy gołym okiem jest on jeszcze niedostrzegalny i gdy nie daje żadnych dolegliwości. Ta metoda pozwala również na wykrywanie stanów doprowadzających do rozwoju raka, tak zwanych stanów przedrakowych. Jak ścisła zależność istnieje między uleczalnością raka a stopniem jego zaawansowania, świadczy na przykład liczba wyleczeń w raku szyjki macicy, który obok raka piersi jest najczęstszym nowotworem u kobiet. W przypadku tak zwanego raka przedinwazyjnego, który jest najwcześniejszą postacią raka macicy, nie sprawiającą chorem dolegliwości i dającą się wykryć tylko za pomocą badania mikroskopowego, uzyskuje się 100 proc. wyleczeń. W raku macicy we wczesnym okresie choroby, który jednak może już być dostrzegalny bez pomocy mikroskopu i może dawać pewne dolegliwości, odsetek wyleczeń spada do 80 proc. Natomiast w późnym okresie choroby, gdy nowotwór zaatakował sąsiednie narządy, zaledwie kilka procent chorych udaje się utrzymać przy życiu.

Ponieważ zarówno raki w najwcześniejszym uleczalnym okresie choroby jak i stany przedrakowe rozwijają się bezobjawowo lub wśród objawów banalnych, dla zwiększenia uleczalności plan walki z rakiem przewiduje tak zwane badania masowe. Badania te polegają na przeprowadzanych okresowo przeglądach dużych grup pozornie zdrowej ludności, na przykład pracowników jednego zakładu lub mieszkańców jednego terenu. Prowadzone są przez lekarzy specjalistów onkologów lub pod fachowym kierownictwem onkologów. Mają one na celu wykrywanie stanów przedrakowych i najczęstszych postaci raka, jak rak macicy, piersi, wargi itp. Badania masowe prowadzone są w wielu krajach. Na wielką skalę prowadzone są w Związku Radzieckim, gdzie około 20 proc. chorych leczonych w zakładach onkologicznych, stanowią wczesne

nie przypadki raka, wykryte na drodze badań masowych. W Polsce badania masowe prowadzi Instytut Onkologii w Warszawie.

NA CZYM POLEGA PRACA WOJEWÓDZKIEGO OŚRODKA ONKOLOGICZNEGO?

Wojewódzki Ośrodek Onkologiczny istnieje od sierpnia 1953 roku. Czynne są wszystkie działy terapii nowotworowej, a mianowicie: dział terapii radem, leczenie promieniami rentgenowskimi, leczenie chirurgiczne, czynna jest nowoczesna pracownia histopatologiczna, pracownia cytologiczna, laboratorium analityczne. W chwili otwarcia Ośrodek Onkologiczny posiadał zaledwie 30 łóżek, obecnie jest 100 stale zajętych łóżek szpitalnych. Do chwili obecnej otrzymało specjalistyczne leczenie około 3500 chorych. Wszyscy chorzy leczeni pozostają pod stałą opieką Ośrodka i poddawani są okresowym badaniom kontrolnym. Oto kilka liczb ilustrujących pracę szpitalną: wykonano przeszło 1200 aplikacji radiowych w przypadkach przede wszystkim narządów rodnych i skóry, około 42 000 seansów Rtg, około 9000 badań histopatologicznych i przeszło 10 000 badań cytologicznych, wreszcie wykonano ok. 700 zabiegów chirurgicznych. Liczba chorych, badanych w ambulatorium Wojewódzkiego Ośrodka Onkologicznego i Poradni Onkologicznej wynosi około 100 dziennie.

Wreszcie do istotnych zadań Ośrodka Onkologicznego należy organizacja walki z rakiem na terenie województwa. Prowadzona jest statystyka chorych z terenu województwa. Zorganizowano dwa kursy doskonalenia w zakresie onkologii dla lekarzy.

Ośrodek Onkologiczny ma i swoje bolączki. Rozwój Ośrodka hamuje ciasnota lokalowa spowodowana pozostawieniem na parterze w gmachu Ośrodka Zakładu Radiologii, który już dawno miał być przeniesiony do innego budynku. Na skutek tego dział terapii (naświetlań) Rtg, ilość łóżek, dział diagnostyki Rtg i ambulatorio-

rium są zbyt małe w stosunku do potrzeb szybko rozwijającego się Zakładu. W konsekwencji powoduje to kolejki czekających na miejsce chorych, co w przypadku chorób nowotworowych jest zjawiskiem wysoce niepożądanym.

A JAKIE SĄ WASZE KONTAKTY Z ZAGRANICĄ?

Na zaproszenie onkologów francuskich wyjechałem w październiku ub. roku do Francji wraz z grupą onkologów polskich, której przewodniczył prof. Łukaszczyk. W czasie pobytu zwiedziliśmy instytuty i ważniejsze ośrodki onkologiczne. Poza dość szerokim stosowaniem izotopów nie widzieliśmy zasadniczych różnic w metodach rozpoznawania i leczenia stosowanych we Francji i w zakładach onkologicznych w Polsce. Nie zaobserwowaliśmy również istotnych różnic w uzyskiwanych wynikach leczniczych. Podkreślić należy, że we Francji poważnie przedstawia się praca eksperymentalna. Prace eksperymentalne prowadzone są w kierunku poznawania przyczyn chorób nowotworowych oraz w kierunku wykrywania środków chemicznych niszczących nowotwory.

Rozmawiał: Cz. M.



Marian Szańda — olej Fot. K. Przychodzki

List z Warszawy

Powieść historyczna na warsztacie

Powieść historyczna od dawien dawna cieszy się wielką sympatią czytelników. Świadczy o tym powodzenie książek Kraszewskiego, których mimo olbrzymich, ciągłych nowych nakładów nie można dostać w księgarniach, wielki sentyment, jakim darzymy historyczne powieści Sienkiewicza. Dużą popularność zyskały także powieści Goliubiewa i Karola Bunscha (łączny nakład książek Bunscha zbliża się do miliona egzemplarzy).

Po niezmiernie interesującym spotkaniu z Goliubiewem publiczność „czwartkowa” z tym większą niecierpliwością oczekiwała Karola Bunscha. Fakt, że obaj pisarze wybrali jako tło do swych powieści epokę piastowską, zaostreśla ciekawość.

Bunsch zaskoczył nieco słuchaczy. Odczytał bowiem fragment nie „polskiej”, ale „greckiej” powieści. Jest to za mierzona dopiero, jak zastrzegł autor, druga część powieści o Aleksandrze Macedońskim. Pierwsza część, „Olimpiada”, ukazała się kilka miesięcy temu i zyskała Bunschowi wielu nowych wielbicieli. Akcja odczytanego przez pi-

sarza fragmentu toczy się bezpośrednio po śmierci Filipa Macedońskiego w Atenach. Demostenes, który lekceważył młodego Aleksandra, usiłuje podważyć Ateny do walki przeciw tyranii Macedończyków. Wierzy, że nadszedł moment, w którym Ateny mogą odzyskać dawną świetność.

Jak państwo mogli zorientować się z tego fragmentu — mówił Karol Bunsch — mój stosunek do Demostenesa nie jest przyjazny. Muszę to wyjaśnić. W szkole uczono nas, że Demostenes był szermierzem wolności, wielkim patriotą. Nowe badania ukazują go w zupełnie innym świetle — jako kiepskiego politykera o wybujałej ambicji. Aleksandra staram się przedstawić obiektywnie. Zresztą, w odróżnieniu od Diogenesa, o którym zapiski historyczne są bardzo nienagane, o postaci Aleksandra za chowało się stosunkowo dużo materiałów historycznych. Jego życiorys pisało wielu ludzi, m. in. 27 współczesnych mu kronikarzy. Jeszcze jedno wyjaśnienie: prawie wszystkie przemówienia Demostenesa są autentyczne. Demostenes miał zwyczaj robić notatki do każ-

Kropla octu

0 pewnych „bohomasach“

Właściwie zaczęło się wszystko od wystawy w salonie artystów plastyków przy ulicy Marcinkowskiej. Młody mężczyzna z ogniem entuzjazmu w oczach powitał w imieniu plastyków przybyłych gości i zapraszał do dyskusji.

Dyskusja, jak dyskusja, była ciekawa i nudna, do rzeczy i od rzeczy, obracała się jednak na marginesach samego aktu twórczego, nie atakując istoty rzeczy, tj. co i po co, oraz jakimi środkami wyraził artysta. Mimo woli przypomina się anegdota z Boyem, który odwiedzał kiedyś salon malarski z małym brzdącem i na jego pytanie, po co są ramy przy obrazach, wyjaśnił, że po to, aby malarz wieział, kiedy skończyć malowany obraz...

Dyskutanci są jednak nieraz bardzo wstydliwi i nie lubią wyjawiać głośno tego, co myślą. Zająrałem więc za tzw. „kulisy” dyskusji, tzn. do ankiety, często anonimowych. I oto, co przeczytałem np. o obrazach Mariana Szańdy.

„...Szańda lepiej nie wspominać, szkoda farb i oleju na te prace... Te bohomasz (tj. BD) nie powinny znaleźć się na wystawie... A obok bardzo niewprawną ręką dopisane: „Obrazów Szańdy nie rozumiem, lecz robią na mnie duże wrażenie...”

To były pierwsze „zachęty”, dzięki którym trafiliem najpierw do pracowni prof. Szańdy. Pamiętam, że na „Zieloną gęś” Gałczyńskiego też napadli ci, których drażniła i laskotała swoim lapidarnym skrótem poetyckiego myślenia.

W pracowni artysty wśród licznych jego obrazów poczułem się nieswojo, jak wśród obcojęzycznego tłumy. Powoli jednak zacząłem odróżniać już kolory, linie i kształty. No cóż, prof. Szańda niejednemu mi przy tym podpowiadał... Ciała trudność w tym, żeby poznać najpierw jeden lub dwa obecne nam języki, jakimi przemawia do nas sztuka, wtedy ten trzeci nie będzie dla nas już tak trudny.

Nie odkryję nowej prawdy, gdy powiem, że dla ludzi wrażliwych na poezję i muzykę sztuka malarska nie powinna być obca. Poezja także nie zawsze mówi do nas w sposób jednoznaczny, niekiedy jest znakiem muzycznym, który dopiero po budza naszą wyobraźnię do intensywniejszej pracy.

O tym wszystkim myślałem oglądając obrazy Mariana Szańdy. Oto „Rozstrzelani” — z cyklu wojennego — wstrząsająca „wizja” rozpaczy więźniów w celi nad rozstrzelanym towarzyszem. Nienaturalnie rozczapierzone palce u podniesionych rąk „krzyczą” jakimś apokaliptycznym symbolem. Może dlatego obraz ten został w 1949 roku uznany za „najczystszy” formalizm? Wydaje mi się, że nie w tym rzecz.

„...Żeby idea wstrząsnęła i zaagitowała — obraz musi być nie ilustracją, ale uchwyconą malarską wizją, tj. skrótem widzeń rzeczywistości, wystronim nym grą form i kolorów w okrzyku! Przykładem takich dzieł o potężnym oddziaływaniu ideowym są kompozycje Picassa.” (J. Przyboś, nr 43 „Przeglądu Kulturalnego”).

A więc nie forma decyduje, lecz treść, a raczej pewna adekwatność ich obu, określająca wymowę koncepcji malarskiej artysty.

Gałczyński — liryczny posługiwał się w budowie swojej „wizji” kilkoma „ograniczeniami” rekwizytami tradycji poetyckiej. Był tam więc tak niezastąpiony nigdy księżyc, a dalej: gwiazdy, skrzypce, latarnia, anioły, brzozy itd. Z tych kilku „świecidełek” czy też „pobrzękadeł” tworzył jednak poeta przedziwne symfonie poetyckie.

Bez analogii do Mariana Szańdy chciałbym stwierdzić, że komponuje swoje obrazy także z kilku na pozór banalnych kolorów, oraz kilku prostych bardzo form geometrycznych. Jak w teatrze rzuca na „scenę obrazu” jakąś grubą kotarę; na niej fragment kołomy z rózbitym kapitelem, wychudzonego pisa (och, słyszę, jak wyje!) i kolorowy lampion księżyc! Obok matka z dzieckiem na ręku z wyrazem zębaty jakiejś rozpaczy na twarzy... Podpisu pod obrazem nie ma. Czy ja wiem? Może to tragiczny „exodus” ze spalonej w 1944 roku Warszawy?

Tak, obraz przemawia językiem prawie teatralnym. W ogóle w obrazach Szańdy jest jakiś „monumentalizm” starożytnego teatru greckiego, który pokazuje nam jednak jak najbardziej współczesną treść.

Nie wiem, kogo z Was zaprosi jeszcze do swojej skromnej pracowni prof. Szańda. Radzę przedtem jednak przeczytać jakiś fragment „Niobe” Gałczyńskiego i posłuchać trochę III Symfonii Beethovena...

Te „bohomasz” są jednak sztuką nielatwą, przynajmniej trochę skomplikowaną dzięki wielkiej prostocie wyrazu, lecz niepokoją, budzą nieraz sprzeciw, bardzo w każdym razie prowokują do... myślenia.

Tragedią artystów typu Szańdy jest to, że — pomimo iż od czasów van Gogha tak gigantryczne zmiany nastąpiły w naszej rzeczywistości technicznej i społecznej, gusty artystyczne niektórych z nas nie odbiegają wiele od gustów „małego mieszczaństwa” z tamtych czasów.

Artysta czuje się samotny. Jego obrazy zakupuje nieraz Ministerstwo Kultury i Sztuki i... zapewnia nimi swoje magazyny (czytaj: piwnice).

Najwyższy już czas, aby obrazy malarzy typu Szańdy i innych zawisły w wielu naszych publicznych salach, poczekalniach, gabinetach przyjeźdźców itd.

Trzeba, aby prawdziwa kultura artystyczna przejawiająca się w wartościowych dziełach malarstwa, rzeźby i grafiki przestała być fikcją artystyczną kilku pięknoduchów hermetycznie zamkniętych; aby wartość sztuki plastycznej i jej potrzeba istnienia odczuły masy, szukając z nią spontanicznie kontaktu, tak jak z filmem, radiem i teatrem. W każdym razie wydaje mi się, że do oceny obrazów np. Szańdy należy zastosować inne kryteria, aniżeli do oceny filmu „Niedaleko Warszawy”...

Sztuka plastyczna ma przed sobą wielkie zadania do spełnienia: pokazania w swojej artystycznej perspektywie autentycznych i aktualnych treści z życia człowieka i to zarówno tych jak najbardziej społecznych i politycznych oraz tych ściśle osobistych i intymnych.

Sztuka może nawet postuluować pewien model tych treści... Niech sztuka plastyczna zacznie ingerować w nasze życie codzienne i świateczne, niech rozsmakuje nas w elementach jego piękna. Niech poda jakąś „wizję” kompozycji tych elementów na kształt obrazów. Nie powiem nic nowego: obcowanie z sztuką czyni człowieka lepszym i szlachetniejszym.

Nie bądnym jednostronni. W naszych wielkich i ambitnych, perspektywicznych planach umieśćmy na poczesnym miejscu sztukę plastyczną. Będzie to bardzo dynamiczny współczesny postępowy społeczny i poprawy jakości człowieka w naszym ustroju.

Bogdan DANOWICZ

(Ciąg dalszy na str. 2)

Adam Mickiewicz w Pradze

Gdy powstawała przyjaźń twórców polskich i czeskich

Wśród wileńskich filomatów i filaretów szukać trzeba źródeł kulturalnego zbliżenia polsko-czechosłowackiego na początku XIX wieku. Nie wiemy dziś, kto był inicjatorem wyjazdu do Pragi w 1822 roku Franciszka Malewskiego, syna rektora Uniwersytetu Wileńskiego, — może Tomasz Zan, a najpewniej Adam Mickiewicz, przyszły wykładowca literatury słowiańskiej w Collège de France w Paryżu, a w siedem lat później, bo w 1829 roku serdecznie witany gość na ziemi czeskiej.

Stypendyści-emisariusze

Franciszek Malewski jako stypendysta miał zalecony jeden z uniwersytetów niemieckich, lecz zgodnie z wolą filomatów udał się do Pragi, aby nawiązać łączność z budzącym się ruchem narodowym — czeskim i słowackim.

W kraju mówiło się również dużo o Czechach, zwłaszcza gdy doszły do Warszawy wiadomości o sensacyjnym odnalezieniu tak zwanego Królowskiego Rekopisu w 1817 roku przez Wacława Hankę w Kralovie Dvorze (stad nazwa), zawierającego wprost bezcenne pieśni i podania z czeskiego średniowiecza. Przekład Królowskiego Rekopisu ukazał się już w 1820 roku w „Pamiętniku Warszawskim”, wkrótce potem zaczął go przekładać Kazimierz Brodziński. Do Wilna przywiózł odpis dokumentu średniowiecznego pierwszy stypendysta Uniwersytetu Wileńskiego, późniejszy profesor tej uczelni — Michał Bobrowski. Mickiewicz czytał „Rekopis” w Kownie.

Falszerstwo ku... pokrzepieniu serc

Nikt jeszcze wówczas nie wiedział, że ten głośny Królowski Rekopis jest... falsyfikatem, stworzonym przez znakomitego skądinąd pisarza i językoznawcę, bibliotekarza czeskiego Muzeum Narodowego Wacława Hankę „ku pokrzepieniu serc” odradzającego się ruchu narodowego. Już w 1824 roku krytyk czeski Kopitar zakwestionował autentyczność Rekopisu, a w następnych latach językoznawcy udowodnili niebicie falszerstwo, choć większość społeczeństwa czeskiego dalej uznawała „Rekopis” za oryginalny. „Rekopis” poważnie oddziaływał na rozwój literatury narodowej w Czechach i był tłumaczony niemal na wszystkie języki słowiańskie. Mickiewicz, choć nie znał jeszcze wówczas języka czeskiego, co nastąpiło później, a tym mniej języka średniowiecznego czeskiego, genialną intuicją wyraził powątpiewania co do jego autentyczności. „Rekopis” odegrał mimo to dodatnią rolę i obudził u nas żywe zainteresowanie piśmiennictwem czeskim.

Poezja i solidarność ideowa

Kiedy wspomniany Malewski przybył do Pragi, ukazały się już „Ballady i Romanse” Mickiewicza. Przywiózł je z sobą. Był to okres walki młodych ze starymi, klasyków z romantykami. Jeden z tak zwanej grupy „Młoda Czeskie” (Młode Czechy), poeta Czelakovsky, rozentuzjusz mowany utworami Mickiewicza, niezwłocznie je przełożył. W 1824 roku Mickiewicz był już znany w Czechach jako, według słów tłumacza, „najnowocześniejszy i najlepszy polski poeta”. Pod wpływem Czelakowskiego tłumacza wkrótce Mickiewicza W. Sztulce i J. K. Chmelnensky.



„W Taborze” — drzeworyt Karola Sztacha

napisał Henryk Barański

Proces filaretów i filomatów i prześladowania młodzieży wileńskiej wzbudziły w odradzającym się narodzie czeskim gorące sympatie dla Polaków, które najwyższy wyraz osiągnęły po powstaniu listopadowym. Mnoży się tłumaczenia dzieł pisarzy polskich, a zwłaszcza Mickiewicza, którego późniejszy pobyt w Pradze i entuzjastyczne przyjęcie zgłoszone na jego cześć, spopularyzowały postać Wielkiego Polaka w Czechach.

Adam Mickiewicz gościł na ziemi czeskiej w drodze do Rzymu w 1829 roku. Po pobycie w Berlinie jechał przez Dreznę do starych, tradycyjną drogą polską, która od początku XVIII wieku wiodła przez stuwieczną Pragę do Karlovy Vary, lecz która obecnie od chwili zbliżenia czesko-polskiego nabrała innego znaczenia i wyrazu.

Z wizytą u Wacława Hanki

Mickiewicz jechał śladem Malewskiego. Konieczność chciał zobaczyć słyszane w nazwie nie mieckiej „Riesengebirge” (Karkonosze), których sama nazwa podniecała wyobraźnię Poety. Dreznę opuszcza 15 czerwca, 20 czerwca przedstawia w policji w Czechach swój zagraniczny, rosyjski paszport i już 21 czerwca jest na zebraniu pisarzy czeskich w pracowni Wacława Hanki. Pracownia ta była popularnym miejscem spotkań czeskich i cudzoziemskich pisarzy. Przyjeżdżający z zagranicy literaci wpisywali się do księgi pamiątkowej. Franciszek Malewski wpisał już w 1822 roku następujący czterowiersz:

Dokonywaj, coś zaczął. Z skutków twojej pracy
Lepsze kiedyś nadzieje powe-
mą Słowacy.
My nie tracim, potomność na
tym zyska,
Jeśli jak bliska mowa, dusza
będzie bliska.

Wpisał swe imię również Mickiewicz w następujących słowach: „Szanownemu Sławianinowi na pamiątkę jeden z jego wielbicieli”. Polski Poeta rozmyślnie użył wyrazu „Sławianinowi” dla podkreślenia źródłowości „sława”, a nie „słowo”, idąc w sporze etymologicznym o pochodzenie nazwy Słowianie za Hanką, Kolarem, Woroniczem i Brodzińskim. Dopiero później Mickiewicz, jako sławista, profesor Collège de France, przychylił się do stanowiska Lelewela i używał nazwy Słowianie.

Na tej samej stronie księgi pamiątkowej Hanki w miesiąc później znalazł się autograf Fryderyka Chopina. Tak więc w 1829 r. spotkały się dwie największe gwiazdy polskiej kultury w pracowni skromnego bibliotekarza Muzeum Narodowego w Pradze.

Propozycje dla „mistrza Adama”...

Mickiewicz przyjechał do Pragi dla zaznajomienia się z młodocześniejszym ruchem narodowym, dla poznania tamtejszych, według wyrażenia poety polskiego, „filologów”, z głównym ich przedstawicielem K. H. Machą na czele. Pobyt naszego Poety w Pradze trwał tydzień. W tym czasie wszyscy wybitniejsi pisarze czescy i słowaccy gromadzili się przy szklanym stole w gospodzie „U Komarka” dla uczczenia wielkie-

go gościa polskiego. O czym wówczas mówiono? Niewątpliwie przedmiotem rozmów był Królowski Rekopis, sensacja dnia w świecie słowiańskim, ale przede wszystkim czeskie i słowackie pieśni ludowe, którymi się polski romantyk szczególnie żywo interesował. Mickiewicz przybył do Pragi ze sławą epika, która wyrobiła mu niemieckie recenzje o „Konradzie Wallenrodzie”, co, jak wiemy, było początkiem europejskiej sławy polskiego geniusza. W Berlinie głośny prof. Gans namawiał Mickiewicza, aby napisał epopeję napoleońską, w Pradze Hanka sugerował pocie polskiemu poematu o wozu husyckim Janie Žižce, uczestniku bitwy pod Grunwaldem. Mickiewicz wysłuchał sugestii, lecz napisał... „Pana Tadeusza”.

Nie zerwana łączność i przyjaźń

Nasz Wieszeć opuścił Pragę, aby trzy tygodnie spędzić w Karlovy Vary, po czym udał się do Weimaru, do „dostojnego starca” Goethego. Nigdy jednak nie przerwał nici wiążącej go z czeskim życiem kulturalnym. Łączność utrzymywał Hanka, który wysyłał Mickiewiczowi nowe wydawnictwa czeskie. Mickiewicz zaś, odwiedzając się Hancę, nadesłał mu „Pana Tadeusza” z dedykacją: „Szanownemu panu Hance poświęca jego przyjaciel i wielbiciel — Adam Mickiewicz. Rok 1838, Maja 29.”

Mickiewicz szybko opanował język czeski i dzięki przyjacielom praskim był w kursie najnowszej literatury czeskiej, gdy prowadził wykłady w Collège de France.

Wpływ Mickiewicza na literaturę czeską w pierwszej połowie XIX wieku był wielki. Wybitny poeta czeski Karol Hynek Macha (1810—1836) autor „Mnich”, „Maja”, powieści „Cyganie” i kilku utworów dramatycznych, pozostał całkowicie pod bezpośrednim wpływem Mickiewicza w stopniu znacznie silniejszym niż pod wpływem Byrona. A po nim szli pisarze epigoni: Nebesky, Sabina, Fricz, Kalina, a zwłaszcza Svatopluk Czech. Nie uniknął wpływu Mickiewicza tak wielki pisarz Jaroslav Vrchlicky, świetny tłumacz „Dziadów”.

Od czasu pobytu Mickiewicza w Czechach minęło 126 lat, lecz nie ma pokolenia czeskiego, które by nie zostawiło nowych tłumaczeń polskiego Poety aż do naszych dni, wśród których czołowe miejsce zajmują: znakomite tłumaczenie całego „Pana Tadeusza” wierszem Elżbiety Krasnohorskiej i ostatnio „Dziadów” przez Fr. Halasa.

Zbliżeniu środowisk kulturalnych polskich i czeskich, zapoczątkowanych przez filaretów — przyswieca niezmierzniemu nieśmiertelnemu geniuszowi Adama Mickiewicza.

Powieść historyczna na warsztacie

(Dokończenie ze str. 1)

— W jakim stopniu korzysta pan z materiałów historycznych? Ile w pana książkach jest autentycznej historii, a ile inwencji twórczej pisarza?

— To pytanie wymaga szerszej odpowiedzi. Dotyczy bowiem mojej metody pracy. A więc: staram się zawsze możliwie najdokładniej, najwznieślej stronić zbadać dostępne materiały. Jeśli w nauce jakaś rzecz jest ustalona, przyjmuję ją, choćby to miało być dla mnie niewygodne, choćby psuło mi to własną koncepcję. Jeżeli jakaś kwestia wywołuje spory między naukowcami — mnie jako pisarzowi wolno wybrać inną wersję, która bardziej mi odpowiada. Tam, zaś, gdzie w historii jest biała plama — nie mogę nie kłębować, wreszcie mogę się wypisać. Może państwo pamiętać bitwę pod Cedzyną. W „Dziadach” opisuję bitwę zajmującą kilkadziesiąt stron. A je dym źródłem historycznym jest kronika Dittmara, w której wzmianka o bitwie leży zaledwie 25 linijek. Tak mniej więcej wygląda „proporcja” między historią a literaturą. Myślę, że wiele racji ma prof. Gieysztor, który recenzując

Zachodni REŻYSERZY o przyszłości filmu panoramicznego

Ciekawą ankietę rozpisano wśród najwybitniejszych realizatorów filmowych Zachodu angielskie pismo „Sight and Sound”, stawiając trzy pytania:

- 1) Czy uważa pan, że nadejście szerokiego ekranu jest równie ważne, jak „rewolucja” techniczna jak nadejście dźwięku?
- 2) 50 procent filmów amerykańskich realizuje się dla szerokiego ekranu. Czy uważa pan, że jeden z szerokoekranowych systemów stał się niebawem na świecie powszechny?
- 3) Czy pan woli realizować filmy starym systemem czy jednym z nowych?

Oto kilka charakterystycznych odpowiedzi.

Twórca „Piękności nocy” René Clair: 1) Nie. 2) Nie przypuszczam. 3) Nie mam wyrobionego zdania.

Twórca filmu „Nicholas Nickleby” — Alberto Cavalcanti: 1) Uważam, że kwestia wprowadzenia barwy na ekran, dotychczas jeszcze nie rozwiązana, jest ważniejsza od poszerzenia ekranów. 2) Szerokie ekrany zostały wprowadzone głównie dla pozyskania widzów utraczonych przez kina na rzecz telewizji. Musiałbym być prorokiem, chcąc odpowiedzieć, czy się to kinom uda. 3) Ze względu na to, że kwestia barwy nie została jeszcze rozwiązana, swój najnowszy film wykonam w dawnym formacie.

Twórca filmu „Słowo” (I nagroda tegoroczna w Wenecji) — Carl Dreyer: 1) Nie sądzę, aby szerokie ekrany mogły wnieść wiele nowego w dziedzinie artystycznej, jednak system „Cinemascope” daje reżyserowi większe pole do popisu. 2) Mam nadzieję, że niebawem zatriumfuje połączonego systemu „Cinemascope” i „Vistavision”. 3) Chciałbym zrealizować mój następny film w „Cinemascope”ie.

Twórca filmu „Na zachodzie bez zmiaru” — Lewis Milestone: 1) Nie ulega wątpliwości, że ostatnio znalazło zainteresowanie kinematografią. Studia hollywoodzkie starają się temu zaradzić, robiąc „rewolucje” techniczne, ale dobre filmy w starym formacie podobają się na daleko więcej niż te, które w nowym. Inaczej mówiąc, uwierzę w nowy format dopiero wtedy, gdy technicy pokażą mi, jak można skomponować kadr, w którym mają znaleźć się tylko dwaj ludzie lub nawet jeden człowiek. 2) Przypuszczam, że kina przyjmą szerokie ekrany. 3) Co do mnie będę robił filmy starym lub nowym systemem — zależnie od treści.

Twórca dziesiątków filmów wielkobudżetowych z udziałem tłumów Cecil B. de Mille: 1) Nie, 2) Tak, 3) Tak.

Sześćdziesiąt lat temu i... dzisiejsze kłopoty

Podczas gdy duża część dzisiejszej publiczności kinowej pamięta jeszcze nadejście filmu dźwiękowego, bardzo nieliczni ludzie pamiętają świat bez kina. Biorąc pod uwagę, że przeciętny wiek, w którym zaczyna się zwracać uwagę na kino — to 10—15 lat, trzeba mieć dzisiaj co najmniej lat 70, aby pamiętać świat bez kinematografii.

Choć bowiem kino narodziło się 28 grudnia 1895 roku, było poprzedzone „wielkim wynalazkiem” i pojawiło się w okresie gwałtownych ulepszeń technicznych: telefonu, pateronu itd. W ciągu trzech lat kino było już znane na całym świecie, w ciągu 5 lat powstały przytłaczające „szkoły filmowe”, a Francja i Włochy wydzierały sobie palmę pierwszeństwa.

PRAWO DO KRZESŁA WŚRÓD MUZ

W poprzednich moich felietonach publikowanych w „Głosie” pisałem o rozwoju poszczególnych szkół filmowych i o najwybitniejszych filmach świata. Dzisiaj rzucmy okiem, na jakim gruncie stoimy po sześćdziesięciu latach — jakie są niezaprzeczalne zdobycze kinematografii, jakie są jej słabości?

Do zdobyczy zaliczyć trzeba bez wątpienia fakt, że interesująca zabawa techniczna, której sami wynalazcy, Lumière'owie, nie wróżyli żadnej przyszłości, stała się w rekordowo krótkim czasie nową sztuką przyjętą do grona muz.

Do zdobyczy należą też arcydzieła filmowe, które stanowią dziś tak zwane „klasyki” i bronią pozycji „Filmów” z niemniej szym powodzeniem, jak klasyczne sztuki — Meimpony, a poezja — Polihymnii i Kalliope.

DRAMAT Z CINEMA-SKOPEM

Tym niemniej po owych sześćdziesięciu latach znaleźliśmy się w newralgicznym punkcie dla filmu. Już w 1929 r. technika omal że doprowadziła do ruiny wieloletni dorobek kinematografii. Po pierwszych filmach dźwiękowych można było przypuszczać, że „wielki niemowa” gdy zaczął mówić — stał się nudziarzem. Z niemałym trudem realizatorzy radzieccy, francuscy, włoscy i znaczna część realizatorów amerykańskich potrafili wywindować film dźwiękowy na wysoki poziom techniczny. Poziom ten umożliwił powstanie fascynujących dzieł o głębokim znaczeniu ideowym w Związku Radzieckim, Włoszech, Francji i kilku innych krajach. Jednakże zanim jeszcze doszliśmy do szczytów filmowych możliwości

nowa „rewolucja” szerokoekranowa i stereofoniczna zagroziła nowym załamaniem.

Pisząc te słowa... nie widziałem jeszcze ani jednego pełnometrażowego filmu fabularnego w kinemaskopie, tym bardziej w wielu innych jeszcze nowocześniejszych systemach. Dwa pierwsze filmy radzieckie także jeszcze nie są ukończone. Jednakże wiadomości, które docierają do nas z Zachodu zarówno w relacji ustnej od rozmaitych delegacji jak i w piśmie, brzmią dość alarmowo. System szerokiego ekranu wydaje się dobry — zastosowanie systemu jak dotychczas — fatalne. Minęły już pełne dwa lata od pierwszego kinemaskopu, a jeszcze nie tylko nie ma żadnego arcydzieła, ale nawet żadnego dzieła naprawdę godnego uwagi. Dwa lata luki w kinematografii kilkunastu państw — to niemało!

TO JUŻ „SIĘ STAŁO”

Jednakże najostrejsi nawet krytycy szerokiego ekranu twierdzą, że rozszerzenie i powiększenie ekranów na stałe jest już faktem dokonanym. Realizatorzy nie mogą już dyskutować nad tym, lecz muszą się zastosowywać do jednoznacznego wołania publiczności. Trzeba więc teraz budować sztuki filmowe w ramach „landshaftu”, a nie w ramach „portretu”. Nie będzie to łatwe i przystosowanie się kinematografii do nowego stylu nie obejdzie się bez wielu przykrych doświadczeń i rozczarowań.

Niezależnie od tego powinniśmy przygotować się w pełni do przyjęcia radzieckich i niemieckich filmów szerokoekranowych. Problem ten, który został w ciągu kilku miesięcy rozwiązany na Zachodzie, następcą u nas znaczne trudności. Powiedzmy sobie otwarcie, że mamy w dużych miastach zaledwie 42 procent kin stanu przedwojennego, przy czym takie miasta, jak Poznań, Warszawa, Rzeszów, Gdańsk, Gdynia, Wrocław, Opole, Szczecin należą do punktów newralgicznych, w których kin jest dwa lub trzy razy mniej niż koniecznie trzeba. Jeśli teraz jeszcze zacznie się uciążliwa przebudowa niektórych kin na kina szerokoekranowe — gotowiśmy być pozbawieni kilku większych kin w Polsce na pewien okres czasu, a później mieć szerokie ekrany bez stereofonii i bez filmów.

Trzeba więc zawczasu pamiętać, że film ma już sześćdziesiąt lat, że daleko mu od powiśnięć, w których był jeszcze 55 lat temu, że wymaga troskliwej opieki technicznej i stroju na miarę dorosłego człowieka.

Leon BUKOWIECKI

Czytaj notatkę na tej samej stronie „Zachodni reżyserzy...”



Na półkach księgarskich ukazało się w nowym wydaniu arcydzieło literatury rosyjskiej „Zbrodnia i kara” — T. Dostojewskiego. Powieść była częstym tematem prac artystów-grafików. Autorem doskonałych ilustracji jest Henryk Grunwald.

Na zdjęciu reprodukcja Studium do sceny z Marmeladą II. Rysunek z teki ilustracji do książki T. Dostojewskiego „Zbrodnia i kara” Henryka Grunwalda.

SKUTECZNA POBUDKA

Spiochy, których zapewne nie brak również w Ameryce, nabyć mogą w jednym z nowojorskich sklepów niezwykle oryginalnej konstrukcji budzik. Mianowicie mechanizm zegarowy wprawia o oznaczonej godzinie w ruch specjalnie zbudowany materac, który zmusza każdego patentowanego leniucha do opuszczenia obiję Morfeusza. Dodajmy, że gwałtowne podrygnięcie materaca ustaje z momentem wyskoczenia z łóżka.

WPADEŁ NA POMYSŁ

„Czas to pieniądź!” — powiedział sobie pewien właściciel magazynu kapeluszy damskich w Sztokholmie i zainstalował dość osobliwe urządzenie. Po dziesięciu minutach od chwili rozpoczęcia przymierzania kapeluszy przez klientkę, włącza się nagle zegar automatyczny. Jeżeli klientka w ciągu następnych dziesięciu minut zadecyduje o wyborze kapelusza, otrzymuje pewien rabat przy kupnie. Nowy pomysł bardzo znacznie ożywił obroty w sklepie.

JEST SPOSÓB

We Włoszech obowiązuje zarządzenie wydane przez władze kościelne, na mocy którego zakazane jest odwiedzenie kościoła w krótkich spodniach. To spowodowało, że dwaj chłopcy szwajcarscy zostali wyproszeni z bazyliki mediolańskiej podczas jej zwiedzania. Nie dali jednak za wygraną! Po chwili namysłu otworzyli swe walizki, wyciągnęli spodnie od pizamy. Niożyli je na swoje krótkie spodnie.

Dozorca bazyliki wpuścił ich bez oporu do środka...

ZRÓB SOBIE SAM

Słynny nowojorski zakład pogrzebowy „Bovary, Schills and Co.” zanotował ostatnio poważny spadek swych obrotów. Interesy należało ożywić. Właściciele owego przedsiębiorstwa wzięli się więc na sposób i zaofiarowali klienteli poszczególne części do trumien wraz z dokładnymi przepisami umożliwiającymi ich własnoręczne zbudowanie. Reklama prasowa dodaje, że gospodarze zbudowanie trumny kalkulują się o 50 procent taniej od kupna gotowej.

NA WSZELKIE WYPADEK

Hotel „Swart” w angielskim mieście Blackpool cieszy się dobrą marką. Niedawno w westybuli hotelowym kierownictwo zakładu wywiesiło następujące zawiadomienie: „Wszystkim gościom zwracamy uwagę na to, aby nie spóźniali się, że będziemy przed stawiali ich drugim gościom. Wszyscy przecież tworzymy tu jedną wielką rodzinę. Niezależnie jednak od tego, prosimy naszych gości, aby wszelkich wartościowych przedmiotów nie pozostawiali w pokojach, ale składali je do depozytu w naszej kasie pancernej!”

BO NIE PŁAKAŁ

Manfred F. jest studentem uniwersytetu w Berlinie zach. Podobnie jak wielu jego kolegów, musi zarabiać na swe studia i utrzymanie nie zawsze we właściwy sposób. Niedawno pewna bogata wdowa „wynajęła go”, by zawiązał zwłoki jej wielce rasowego mopsa na psi cmentarz w Lankwitz oraz pogrzebał jej ulubienca z zachowaniem umówionego ceremoniału.

Niestety, Manfred F. nie otrzymał oznaczonego honorarium, gdyż nie potrafił uronić nad grobem mopsa ani jednej łzy.

WSPRAWACH „UŻYWANIA”

Generalna dyrekcja duńskich kolei wydała ostatnio zarządzenie, na mocy którego funkcjonariusze stacji w czasie ich nieobecności spełniać mogą żony. Przepis ów wprowadza pewne komplikacje w tych wypadkach, kiedy urzędnicy w czerwonych czapkach są na przykład kawalerami. Z tej więc przyczyny jeden z nieznanych funkcjonariuszy, niejaki E. Ohlsar, zapytał się swych władz przełożonych, czy gospodyni domu może go zastąpić.

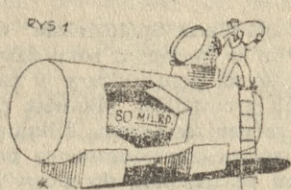
Odpowiedź urzędowa brzmiała: „Przebieg używania gospoły jako żony nie wyrażamy sprzeciwu, jeżeli ona sama nie ma żadnych zastrzeżeń!”

Coraz szerzej we wszystkie dziedziny życia wkracza energia atomowa — nowa, potężna broń ludzkości w walce o wyższy poziom życia. Chociaż w niektórych państwach kapitalistycznych — jak w Stanach Zjednoczonych — większość wysiłku idzie na przygotowanie broni masowej zagłady — bomb atomowych — to kraje obozu pokoju szeroko wykorzystują już zjawiska jądrowe dla celów pokojowych.

Wykorzystanie energii jądra atomu dla otrzymania energii elektrycznej, to porównywalna sprawa. Ale w chwili obecnej znacznie szerzej stosuje się technikę jądrową, wykorzystując promieniowanie odmian pierwiastków (zwanych izotopami), które posiadają właściwość wydzielania promieniowania w procesie rozpadu jądra atomowego. Owo promieniowanie może być przez człowieka wykorzystane do pomiaru czasu, do badania struktury materii, do badania procesów fizycznych i chemicznych. Stąd właśnie przydatność izotopów promieniotwórczych w szeregu dziedzin.

Izotopy promieniotwórcze w większości swej nie są spotykane w naturze. Wytwarzają się sztucznie, poddając zwykłe pierwiastki działaniu strumienia neutronów, protonów, deuteronów i innych cząstek elementarnych. Odbija się to w reaktorze atomowym.

Oto niewielki budynek — jeden z szeregu podobnych, zbudowanych na terenie Związku



ku Radzieckiego — niczym nie różniący się od zwykłych domów mieszkalnych. W domu tym ustawiono „kocioł” atomowy, który posiada moc cieplną 10 000 kilowatów. W jego środku, poprzez każdy centymetr kwadratowy, przebiega w ciągu sekundy 80 000 miliardów neutronów oraz olbrzymie strumienie promieni gamma. To skutki rozszczepiania jąder atomowych.

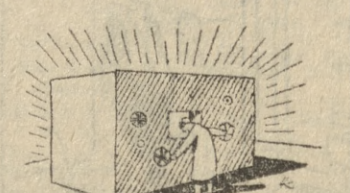
W grubych betonowych ścianach reaktora urządzone są specjalne kanały, do których docierają owe potężne potoki neutronów i promieni gamma. I właśnie w tych kanałach umieszcza się substancje, które chcemy poddać działaniu neutronów, nadać im własności promieniotwórcze.

„Gorące” laboratorium

Wszystkie substancje, które wydobywamy z reaktora jądrowego, mają wysoką promieniotwórczość, przez co zagrażają poważnie ludzkiemu zdrowiu. Aby więc dalej móc ich używać, by móc z nimi cośkolwiek zrobić — niezbędne jest zachowanie wielkiej ostrożności oraz posiadanie odpowiedniej aparatury.

Oto na przykład wydobyto z kanału reaktora kawałek metalu. Specjalny mechanizm umieszcza go w ołowianym zabójniku, o grubych, nieprzepuszczalnych promieniowania ściankach. Mechanizm zostaje on podany do „gorącego” laboratorium. Tu, do komór ludzkie nie wchodzi. Można stwierdzić, co się w nich dzieje tylko poprzez skomplikowany system przyrządów optycznych lub telewizyjnych.

W komorze laboratorium znajduje się obrabiarka do metalu. Na nią właśnie zostaje zamocowany kawałek promieniotwórczego metalu. Dzieje się to bez udziału człowieka, automatycznie, przy pomocy szeregu przyrządów, którymi kieruje operator znajdujący się za grubą betonową ścianą. Obrabiarka rusza. Tnie metal



na kawałki, nadaje im żądany kształt, obtacza je, szlifuje. Włóki i pył metalowy, powstające przy obróbce, zostają automatycznie usunięte z laboratorium. Wszystkie czynności wykonuje się tutaj przy pomocy manipulatorów — swego

rodzaju „rak mechanicznych”, kierowanych z daleka.

W reaktorze atomowym, oprócz wytwarzających się pod wpływem działania strumienia neutronów, potrzebnych nam izotopów promieniotwórczych, powstają również inne substancje. Zbędne i szkodliwe domieszki różnych pierwiastków, wytwarzających się w procesie rozpadu jąder atomowych. Usunięcie tych domieszek — to zadanie chemików. Nowa gałąź chemii — chemia jądrowa, ma na to szereg sposobów.

Oczywiście, że laboratorium chemii jądrowej w „gorącym” laboratorium atomowym wygląda zupełnie inaczej, niż normalne laboratoria badawcze chemików. I tutaj wszystkie czynności dokonywane są przy pomocy manipulatorów. I tutaj aparatura jest zautomatyzowana. W ten właśnie sposób otrzymuje się wreszcie odpowiednie koncentraty potrzebnego izotopu.

Ale i to jeszcze nie wszystko. Często trzeba wyprodukować nie czysty izotop, lecz jakiś jego preparat chemiczny. Tym zajmuje się tak zwane laboratorium izotopowe.

Podwójny skład

W laboratorium izotopowym pierwszym pomieszczeniem jest skład przybywających materiałów, poddanych działaniu neutronów w atomowym kotle. Dziwnie ten skład wygląda, nie jest podobny do żadnego innego magazynu. Nie ma w nim półek, czy przegródek. Natomiast znajdują się tu głębokie betonowe zbiorniki napelnione wodą. W głębi, pod kilkumetrową warstwą wody, leżą promieniotwórcze „półfabrykaty”. Woda nie tylko dostatecznie osłania pracujących tu ludzi przed promieniowaniem, ale przejrzysta jej głębia pozwala widzieć na dnie wszystkie zasobniki z poszczególnymi izotopami, pozwala wyjmować te, które są potrzebne.

Rozszyfrowana „tajemnica”

O przebiegu radiostłuchacz wie o zasadach działania radia? Przecież większość radiostłuchaczy deklaruje się swoim aparatem radiowym, kręci galkami, ściąga, majstruje koto anteny, ale w gruncie rzeczy nie ma zielonego pojęcia o tym, na czym ta cała sprawa polega. Pozostała reszta (nie mówiąc oczywiście o garście fachowców) wie coś płate przez dziesiąte. A przecież aparat radiowy znajduje się prawie w każdym domu. Radio stało się w naszym życiu równie niezbędne jak książka, gazeta, film lub teatr. A mimo to tak mało o nim wiemy.

I jak zwykle z odsieczą przychodzi Wiedza Powszechna, która nie znośi „tajemnic” i każdą z nich w sposób naukowy demaskuje, rozszyfrowuje. Książka St. Edwarda Burego i Tadeusza Pszczółkowskiego pt. „W świecie radiotechniki” wprowadzi każdego posiadacza aparatu radiowego we wszelkie arkańskie tajemnice nieprostego urządzenia. I dlatego właśnie, że zagadnienie nie jest takie łatwe — i książka ma dość skomplikowane partie. Po głębszym jednak wczytaniu się okazuje się wszystko proste, bardziej zrozumiałe. Człowiek zaczyna zupełnie inaczej, jakoś świadomie (a do tego Wiedza Powszechna zmierza) spoglądać na swoje „Philipsa”, „Pioniera” czy „Age”.

Autorzy zaznajamiają czytelnika z urządzeniami nadawczymi, tłumaczą, jaka jest różnica między falami długimi, średnimi, krótkimi i ultrakrótkimi — a więc falami, które znajdują zastosowanie w radiofonii: opisują radiowe urządzenia odbiorcze, wyjaśniają działanie różnych radiowizyjów. Wreszcie zabiera czytelnika do rozgłośni telewizyjnej, zapoznają go z historią tego wielkiego wynalazku, z podstawami telewizji, pokazują, jak wygląda w praktyce działanie urządzeń nadawczych, w jaki sposób przeprowadza się bezpośrednie transmisje telewizyjne.

„Czegoż to człowiek nie wymyśli!” — mamy ochotę powiedzieć za autorami, kończąc lekturę tej interesującej i bardzo potrzebnej książki. Powinno ona znaleźć się na półce nie tylko każdego posiadacza aparatu radiowego. Jeśli bowiem jeszcze aparatu nie mamy, to z pewnością w najbliższej przyszłości mieć go będziemy — i wtedy książka Burego i Pszczółkowskiego stanie się naszym nauczycielem i przewodnikiem. Nie tylko jej tekst, ale i liczne, dobre ilustracje.

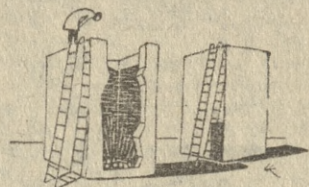
St. O.

* S. E. Bury, T. Pszczółkowski — W świecie radiotechniki, Wiedza Powszechna, rok 1955, str. 253, cena zł 8.65.

ne, przesuwając je kanałami do innych zbiorników, do tych kołm laboratoryjnych, gdzie znów tylko manipulatory sterowane zza ściany przeprowadzają będą wszystkie potrzebne procesy.

W tym samym laboratorium widzimy zresztą i inne pokoje, a w nich szafy, skrzynie i zabójniki, które znajdują się w zupełnie nieosłoniętych miejscach. Są to oddziały laboratorium, które zajmują się izotopami, wydzielającymi promienie beta. Zaznaczyć bowiem trzeba, że dla zdrowia człowieka niebezpieczne są bardzo wydzielane przez ciała promieniotwórcze promienie gamma — podobne do promieni rentgena. Natomiast przed promieniami beta zasłonięte może człowieka zwykła szafa, lub milimetrowa warstwa aluminium.

Oczywiście jest, że we wszystkich tych laboratoriach przestrzegane są ściśle wszelkie

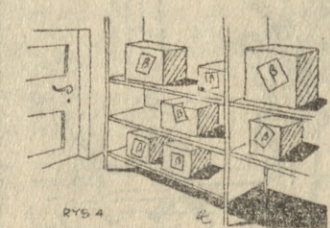


środki zapewniające pełne bezpieczeństwo pracy. Co pewien czas badany jest stopień promieniotwórczości powietrza, za nieczyszczenie promieniotwórcze rak, rękawice, ubrania ochronnego. Wszyscy pracownicy mają przy sobie tak zwane indywidualne dozometry, pozwalające stwierdzić, w jakim stopniu pracownik uległ działaniu promieniowania.

W świat szeroki

Z tych to właśnie laboratoriów, w różne krańce Związku Radzieckiego, do krajów demokracji ludowej rozchodzi się liczne przesyłki. Większa część ich wagi — to waga dokładnego ołowianego opakowania ochronnego. A wewnątrz kryją się niewielkie — nieraz ważące zaledwie kilka gramów, a przecież bezcenne — preparaty promieniotwórcze, które idą do fabryk, instytutów badawczych, szpitali.

W jednych przesyłkach znajduje się promieniotwórcza rdza — tlenek promieniotwórczego żelaza. Przy jego pomocy będzie można badać procesy zachodzące w piecach martenowskich. Promieniotwórczy molibden — znajdujący się w innej paczce — opowie nam o



tym, jak w szlachetnej stali rozkładają się domieszki, poprawiające jej własności mechaniczne. Kawałek takiej stali rozcina się i przykładamy doń po prostu kliszę fotograficzną w opakowaniu. Promienie wydzielane przez izotop molibdenu prześwietla kliszę poprzez papier i dadzą obraz rozmieszczenia atomów molibdenu w stopie.

Przesyłek jest bardzo wiele. Jest tu promieniotwórczy kobalt, pozwalający nam badać odlewy precyzyjnych części, pracujących w trudnych warunkach, pod dużym ciśnieniem — jego promienie zame-

dują nam o wszelkich wadach odlewu. Inne izotopy mierzyć będą rozpostarcie farby na tkaninie w fabrykach włókienniczych, grubość tkaniny bawełnianej itp. Promieniotwórczy fosfor, z którym zresztą również niesłychanie ostrożnie trzeba się obchodzić, pomaga biologów i botaników o życiu roślin, o zachodzących w ich tkankach procesach przemiany materii. Inne jeszcze promieniotwórcze izotopy nie tylko pozwalają nam badać tajemnice wnętrza ludzkiego ciała, ale także przyczyniają się do wyniszczenia zdegenerowanych komórek u chorych na raka. W tym ostatnim wypadku małe igły kobaltowe, wagi kilku gramów, transportowane i chronione są w zabójnikach wagi do 160 kg.

Coraz szerzej sięga energia atomowa w nasze życie. Jej gońcami są właśnie owe promieniotwórcze izotopy, potężny oręż człowieka dwudziestego wieku.

J. Grudniewski

NAUKOWCY BYWAJĄ NIEDYSKRETNIE

Młody pracownik naukowy Instytutu Papirologii UW — adiunkt Józef Modrzejewski już od dłuższego czasu przygotowuje obszerną pracę naukową z dziedziny prawa antycznego. Przygotowując tę pracę J. Modrzejewski w niedyskretny sposób wertuje, bada, zamierza nawet opublikować... pewne prywatne listy bez zgody ich autorów. Usprawiedliwia go tylko fakt, że listy te, a ściślej mówiąc papiirusy, pochodzą... sprzed 2 000 lat.

Autorzy listów, to zwykli ludzie — osadnicy greccy, którzy po podboju Egiptu przez Aleksandra Wielkiego przybyli i zamieszkali w tym kraju. Ich listy, przechowane w suchym piasku egipskim, stanowią nieocenioną, bogatą materiał źródłowy dla naukowców zajmujących się badaniami tamtych czasów. W listach tych znajduje się wiele ciekawych i ważnych informacji o ówczesnym życiu — są tu listy handlowe, rodzinne i miłosne. Szczególna wartość li-

stów polega na tym, że ukazują one życie takie, jakim było, bez upiększeń, przemilczeń i uproszczeń. Dla historyka prawa antycznego, którym jest J. Modrzejewski, treść listów umożliwia lepsze zrozumienie systemów oraz instytucji prawnych, wówczas obowiązujących.

J. Modrzejewski ukończył już pierwszą część swej pracy, opartej na tych listach — część ta nosi tytuł „Prawo rodzinne w greckich listach pisanych z Egiptu”.

STATYSTYKA DŁUGOWIECZOŚCI

W kartotekach Instytutu Biologii przy Uniwersytecie im. Gorkiego w Charkowie w roku 1951 zanotowanych było 30 tys. osób, zamieszkałych w Związku Radzieckim, których wiek osiągał względnie przekroczył 100 lat życia. Wśród tych fenomenów wymienić należy przede wszystkim 155-letniego Chappara Kautu z Abchazji oraz 143-letniego Machnuda Ejwazowa z Azerbejdżanu, cieszących się doskonałym zdrowiem. Dwie starszki: Prowozina i Kożikina z okolic Krasnodara liczą sobie tylko... po 150 lat.

Przy tej sposobności nadmienić należy, że według statystyk brytyjskich — w Anglii zamieszkuje za ledwie 146 osób, których wiek osiągnął względnie przekroczył 100 lat życia.

Sztuczny DESZCZ

Możność wywołania sztucznego deszczu zaprzęga nie od dziś umysły wielu uczonych. Przed kilku tygodniami prasa doniosła o tego rodzaju udanych doświadczeniach, przeprowadzonych w Japonii. Nie od rzeczy będzie nadmienić, że zagadnieniem tym zajmują się również uczeni radzieccy. A oto, co na ten temat pisze „Technika Młodzieży”:

Na niebie widać było kilka obłoków, do których zbliżał się zwolna samolot. Wkrótce za samolotem rozwinęła się jakby długa, biała nitka. Po chwili zgrubiła, by wreszcie stać się szeroką wstęgą o mlecznej barwie. Następnie rozpręszczała się na całą chmurę. Wówczas wybiegł od niej w dół niebieski smug. Spadł deszcz, prawdziwy deszcz.

Gdybyśmy poddali analizie chemicznej jedną z kropel tego deszczu, stwierdzilibyśmy w niej obecność chloru wapnia — soli, dzięki której uczone radzieckie mogli dokonać swego „cudu”.

Profesor Fiedosiejew — bo o nim tu mowa — wykonał już kilka doświadczeń tego typu. W jednym z nich spowodował również deszcz bez użycia samolotu. Próba ta miała miejsce w górskich okolicach Morza Czarnego. Ustawiono tam, na niewielkim tarasie górskim, silnik łożniczy, zaopatrzony w śmigło, które rozpylało pionowo w górę tenże sam chlorek wapnia. Po pewnym czasie w chmurze zaobserwowano kolisty prześwit, ogarniający mleczną barwą całą chmurę — po czym spadł deszcz.

SZEŚĆ NAZW

Tak zżyliśmy się już z sześcioma nazwami części świata, że rzadko zastanawiamy się nad ich istotnym znaczeniem. Nie od rzeczy więc będzie przypomnieć sobie ich pochodzenie:

EUROPA (łac. europium), to wypaczony wyraz indoeuropejski oznaczający Zachód;

AZJA — to stary semicki wyraz „Asu” — Wschód;

AFRYKA — jest nazwą stosunkowo młodą. Przed nową erą nosiła nazwę Libii, nadaną jej przez Kartagińczyków. Dopiero Rzymianie nazwali jedno z plemion czarnego ładu „Afri” i następnie przenieśli tę nazwę na cały ląd.

AUSTRALIA — początkowo też miała inną nazwę. Odkrył ją Ho-

lender — Wilhelm Jansens, nazywając Nową Holandią. Dopiero później James Cook przechrzcił ją na Australię, co znaczy „południowa”.

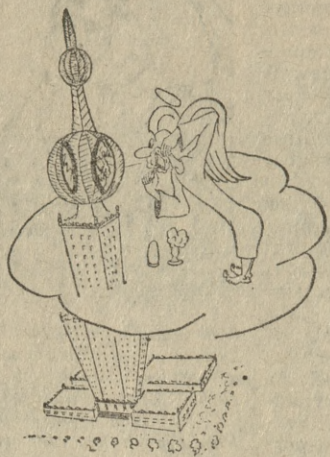
Nazwa **ANTARKTYDY** składa się z dwóch greckich wyrazów: „anti” i „arktos”. Arktos to po grecku niedźwiedź. Wielka niedźwiedźka wskazywała greckim żeglarzom Północ Stąd nazwa ARKTYKI.

Antarktyda, to obszar, który leży na przeciwko Arktyki, na przeciw Północy.

AMERYKA — to jedyna część świata, która otrzymała nazwę od nazwiska człowieka, pierwszego jej badacza, który zorientował się, że Kolumb dotarł nie do Indii, ale do całkiem nowego lądu. Nazywał się on Amerigo Vespucci.

MIEDZY NAMI ANIOŁAMI

Rysował
Z. KĘDZIA



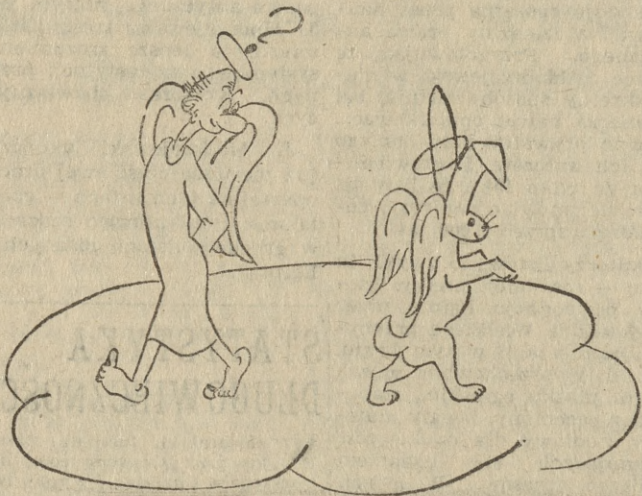
Nareszcie mogę się dobrze ogolić!



Co to jest, że dzisiaj tyle meteorów spada!



A chciałem tylko trochę „pofruwać”



Bez podpisu



„Krótkowidz”



I znów się jest w swoim żywiole

Kanapa się zepsuła. Nie żaden nadzwyczajny wypadek. Nie było tegoż jękania, który zarwał ją swym ciężarem, ani żadnego innego wypadku mogącego służyć jako temat do humoreski dla „Estrady”. Zepsuła się po prostu jak psują się setki nawet najbardziej solidnych sprzętów — pod wpływem ciągłego użytkowania.

Kanapę więc trzeba było naprawić. Wprawdzie nie był to żaden sprzęt historyczny, na którym kiedykolwiek spoczywała jakaś wybitna osobistość. W miasteczku takie osobistości nigdy nie bawiły. Nie podlegała więc ani kompetencji wojewódzkiego konserwatora, ani tym bardziej nie była tematem utworu lirycznego ukazującego kanapę w jej historycznym rozwoju.

Wezwaliśmy więc po prostu tapicera-specjalistę, który zjawiał się nadszpiewanie szybko. Obejrzał kanapę, opukał dokładnie, po czym głęboko się zamyślił. W trakcie tego — jak było widać du-

KANAPA

żego wysiłku — poruszał wąsami nadając swemu obliczu wyraz nadzwyczaj uduchowiony i niecodzienny. Wreszcie powiedział:

— Zrobi się, dlaczego nie... Tyś się złotych!

Spojrzałem na mistrza spoode rba Nie, wyglądał w dalszym ciągu zupełnie normalnie.

— Przecież za osiemset kupię za pełnię nową — zaproponowałem.

— To se pan kupuj — odburknął, nacisnął na uszy czapkę i wyszedł.

Wezwałem go ponownie już nazajutrz. Okazało się bowiem, że kupno nowej kanapy nazywa się w urzędowym języku „inwestycja”, a takowa w myśli tak zwanych paragrafów musi być przewidziana na rok z góry, zatwierdzona, uznana za niezbędną itd.

A skąd u licha miałem wiedzieć rok temu, że stara nawali? Repetycja natomiast należy do kategorii tak zw. „remontów”, na które pieniądze mamy. Możemy ją natychmiast opłacić. Pod warunkiem oczywiście, że rachunek będzie zgodny formalnie i merytorycznie.

Specjalista miał triumfujący wyraz twarzy. Na wargach błakał mu się ironiczny uśmieszek. Kanapę naprawił, tysiąc złotych schował do kieszeni i ulotnił się jak kamfora. Ja natomiast ilekroć przechodzę obok sklepu CHPD, gdzie na wystawie stoi przepiękna kanapka za 900 złotych, dostaję palpitacji serca.

Naprawa starej nie uratowała. Wystają sprężyny.

Zastanawiam się tylko nad jednym: czy autorzy superpomysłowych zarządzeń „planowych” nie mają przypadkiem w rodzinie tapicerów?

JANUSZ KSIĘSKI

Tadeusz Multański

W ramach sprawozdawczości

Niedawno Piotr Fijołek, znany działacz na niwie kulturalnej w Zabkach Górnych zwołał dorastającą młodzież i rzekł:

— Tak dłużej być nie może! ZMP śpi, GS nie robi dla rozwoju naszej kultury na wsi. Koło Gospodyń też się nie rusza, nie mówiąc o ZSCh, komisjach kulturalno-oświatowych przy GRN i spółdzielni produkcyjnej. Świeć! Świeć! Świeć! Musimy dźwignąć. Nie możemy czekać i patrzeć. Zrobimy przedstawienie.

I zrobili. Przedstawienie miało tytuł: „Łopata do głowy”.

W związku z zakończeniem roku wszystkie instytucje w Zabkach Górnych zostały zwane przez czynniki odgórne do złożenia sprawozdań „po linii kultury oraz oświaty”.

Oto sprawozdania:

1. „Koło gromadzkie ZMP do nosi, że w roku sprawozdawczym zorganizowało 48 zabaw. Należy nadmienić, że młodzież zetempowska z entuzjazmem zorganizowała się w zespół teatralny, który wystąpił z programem „Łopata do głowy”. Program ten został powtórzony 18 razy.”

2. „Koło Gospodyń może poszczycić się nie lada osiągnięciem: w bieżącym roku z naszej inicjatywy córki i synowie dali 19 razy przedstawienie pod tytułem „Łopata do głowy”. Fakt ten świadczy nie wątpliwie o rozwoju życia kulturalnego na naszym terenie.”

3. Przewodniczący Komisji Kult.-Ośw. GRN podrapał się najpierw po głowie, a potem wpadł na pomysł, aby... napisać, że „dzięki staraniom Komisji k.-o. zorganizowane zostało przedstawienie pt. „Łopata do głowy”.

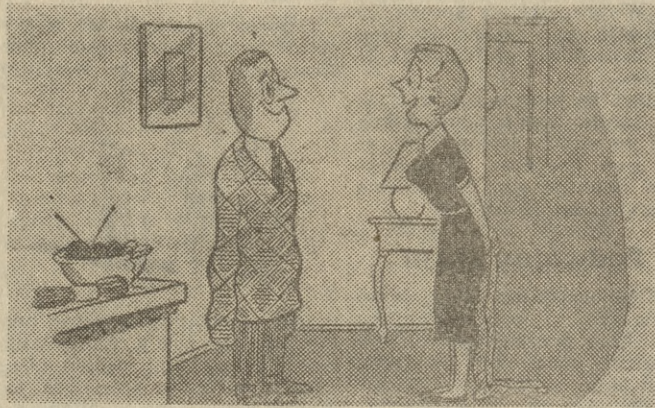
4. „Gminna Spółdzielnia” ożywiła w bieżącym roku działalność na polu kultury w naszych gromadach. Młodzież po za zorganizowaniem kilkunastu zabaw zaprezentowała program pt. „Łopata do głowy”.

Również kierownicy pozostałych instytucji w sprawozdaniach podkreślili swoje zasługi przy organizowaniu przedstawienia pt. „Łopata do głowy”.

Przed dwoma dniami odbyło się zebranie gromadzkie, na którym od swoich czynników odgórnych otrzymały dyplomy uznania za prace na polu szerzenia kultury wszystkie instytucje, które w swoim czasie wysłały sprawozdania, — z podkreśleniem wysiłków przy organizowaniu przedstawienia pt. „Łopata do głowy”.

Obywatel Piotr Fijołek podobno organizuje w nowym 1956 roku nowe przedstawienie.

Próby odbywać się będą w świetlicy, w której zawieszono zostały ostatnio otrzymane dyplomy.



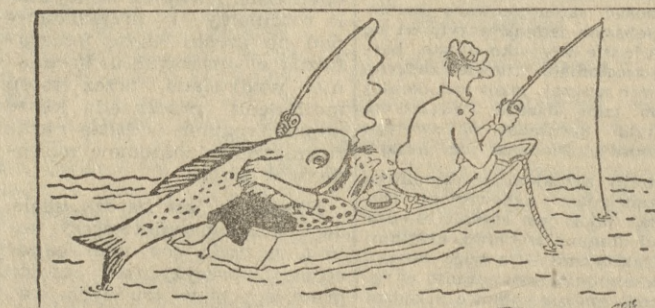
— A co ty na to, że zrobiłam ci jeszcze parę ładnych skarpet?



— Panie Kowalski!! Pani Kowalska!!



— Nie, nie o tę siostrę mi chodzi.



Krytyka „GŁOSU” skutkuje

Przed trzema laty opublikowaliśmy artykuł pod bożym wezwaniem „Poznańscy artyści — na Stary Rynek!”. Domagaliśmy się w nim mieszkań dla przedstawicieli świata kultury naszego miasta. Dotychczas w tej sprawie było głucho i cicho. Myśleliśmy, że sprawa poszła w zapomnienie.

Niesłusznie!

Wyprowadził nas z błędu na koncercie noworocznym JERZY OFIERSKI, nieodżałowany poznański autor-satyryk, konferansjer-satyryk, aktor-satyryk w jednej osobie. Powiedział dosłownie (cytujemy z protokołu tegoż koncertu):

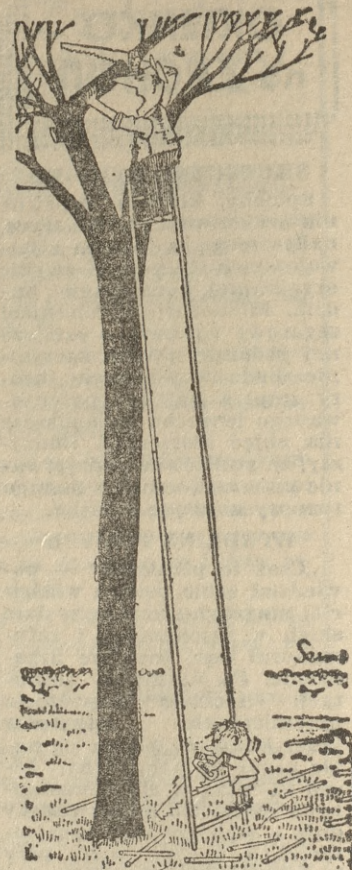
„Kto mówi, że poznańscy artyści nie dostali mieszkań na Starym Rynku? Opowiadali mi osobiście, że już mieszkają. Kto? A Barbara Koszewska, Kossowski, Domieniecki... Państwo się dziwią? Naprawdę? Oni rzeczywiście dostali mieszkania na Starym Rynku. W Warszawie, oczywiście!”

Jednym słowem — krytyka „Głosu” poskutkowała.

— Co chcesz znów, Mario. Nie możesz trochę spokojniej łowić ryby?



— To był naprawdę bardzo miły wieczór sylwestrowy. Szkoda tylko, że ty nie mogłaś wziąć w nim udziału.



— Co ty tam cały czas pijesz, Janku?



— Znów zepsułeś cały mój wolny dzień, co?



Optymizm

Rysunki zaczerpnięte z „Uilenspiegel” - Amsterdam



Spryciarz



Bez słów